№ 11. Warszawa, dnia 2 (14) Marca 1888 r. Rok XXIV.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGAWĘDKA

— „Gwałtu, przestań raz!...” ma się ochotę zawołać głosem zrozpaczonym i zniecierpliwionym do tego nieba, które sypie i sypie śniegiem, dmucha mroźnym wiatrem, a potem, ni ztąd, ni zowąd, chucha na zziębniętą ziemię i topi nam grudy pod nogami po to, aby świeże błoto zamrozić znowu.

Przy słońcu bywa zimno, lodowato, nocami przychodzi odwilż; wszystko na opak, wszystko inaczej, niż bywało według dawnego porządku rzeczy, kiedy to cztery pory roku trzymały się terminów kalendarza, św. Marcin przyjeżdżał na białym koniu, a na św. Grzegorza zima szła do morza.

„Same kontrasty mamy dziś w przyrodzie, dnie na ślizgawce, a noce na wodzie...”

Dawniej w połowie Marca miewaliśmy w butonierach przelaszczki udające fijołki, na św. Józefa przylatywał poczciwy bociek do starego gniazda i przynosił wiosnę w długim dziobie, wyjmowaliśmy z szafy wiosenne palta i okrywki, piękne panie, dbałe o swoję płeć, chroniły twarze od piegów nowemi parasolkami, ja już z całą gromadą bezskrzydłych słowików spiewałem wiersze na cześć lubej wiochny: a teraz!... gruda i gruda, zadymka na zadymką, mróz i mrozik na przemiany; ziemia bieli się i tynkuje zimowym pudrem, a ludziom skóra cierpnie na grzbiecie i pęka na odmrożonych palcach.

Boże, co za marne i bezsilne stworzenie z tego człowieka wobec natury!... nazywa się królem przyrody, a jest jej prostym niewolnikiem. Nie może wytrzymać walki z kroplami wody i płatkami śniegowego puchu, jeżeli się przyrodzie podoba zalewać go deszczem, lub zasypywać śniegiem.

Natura ma dewizę, tak rzadko przez ludzi zastosowywaną w praktyce: *l'union fait la force*, albo *viribus unitis*, albo „gromada to wielki człowiek”; wszystko robi bowiem wspólnemi siłami; potęgę swoję z najdrobniejszych składa żywiołów, do celów swoich zdąża bezustannie, wytrwale, niezmordowanie, a przecież, jak powiadają: „ślepe siły” w niej tylko działają.

Żebyż to człowiek uczyć się chciał od natury i na niej wzorował, i z niej brał przykład!...

Jedynym pożytkiem, jaki z tegorocznej zimy osiągnąć można, jest—morał, ale ten, jak wszystkie zwykle morały, nie na wiele się przyda, zwłaszcza kiedy człowiek nie ma swobodnej głowy do zastanawiania się nad nim.

Zgodziliśmy się wszyscy w Europie jednomyślnie, że zima terroryzuje nas zanadto, że nadużywa swoich praw i trwa za długo; jest to niepodzielny sąd opinii publicznej, meteorologów i przyrodników.

Stanowczo, coś się zepsuło w mechanizmie świata niebieskiego i ziemskiego, skoro widocznie biegun północny przesuwa się coraz bardziej ku równikowi, a strefy umiarkowane nabierają klimatu morza lodowatego.

Uczeni nam to pięknie i szczegółowo wytłómaczą, ale *was kauf' ich mir dafür?*... inaczej mówiąc: co mi z tego przyjdzie, że poznam przyczynę srogości tegorocznej zimy, obfitości spadłych śniegów i obniżonej tak długo temperatury, kiedy odmrożony nos mój (nie wierzcie temu, to tylko forma stylistyczna), czerwienić się nie przestanie ani na chwilę.

Niema przyczyn bez skutków, i na odwrót: ostra zima jest skutkiem jakichś nieprawidłowości w naturze, ale zarazem jest przyczyną przewidywanych z grozą niebezpieczeństw, które nas jeszcze czekają w przyszłości. Mieliśmy tu już próbkę nagłej, jednodniowej, na szczęście, odwilży, która nasze ulice zamieniła w laguny weneckie.

Przyszło do tego, żeśmy musieli w strachu i z obawy przed powodzią wzdychać do przymrozków i gdyby można, bylibyśmy zimę za białe poły chwycili, aby nie umykała od nas tak nagle.

Dokuczyła nam tyle, a wobec groźniejszej w następstwach wiosny, boimy się ją stracić.

Nie chciałbym w tych czasach zamieszkiwać jakichkolwiek nadbrzeżnych okolic i czekać ruszenia lodów...

Widziałem w miniaturze skutek odwilży nagłej na warszawskich... rynsztokach i postanowiłem kupić sobie zaraz po pierwszym kalosze po kolana i płaszcz gutaperkowy, albo cały kostyum nurka, jeśli mi na to gotówka pozwoli.

Toż to będziemy pływali w błotku warszawskiem!

Przyznaję się, że nigdy nie czytałem telegramów politycznych z takiem zajęciem, z jaką obecnie czytuję biuletyny o stanie naszej Wisły. Bliżsi jej znajomi przepowiadają, że się „wścieknie“, gdy ją połechcą tylko pierwsze promienie wiosennego słońca. Piękna perspektywa!... będziemy mieli wspaniałe widoki z brzegów, przy których... rozpacz i nędza wyć zaczną.

W przewidywaniu grożącej klęski robi się, co można, ale czy wszędzie?... czy z równą gorliwością?... czy to nieszczęsne nasze: „jakoś to będzie“ nie bruździ nawet tam, gdzie niebezpieczeństwo powodzi jest największem?

Bywamy mądrymi po szkodzie; bądźmyż raz przezornymi przed szkodą.

Środków ratunkowych, materyału do możliwej walki o mienie i życie z rozszalałym żywiołem, doświadczonych ludzi, dziś już zorganizowanych w komitety pomocy,—nie powinno nigdzie zabraknąć tam, kędy może być z góry przewidywaną klęska.

Może być, że losy obejdą się z nami łaską

wiej, niż przypuszczamy i że na wielkim strachu wszystko się skończy, ale nie zapominajmy, iż „strzeżonego Pan Bóg strzeże“, a pomaga tylko temu, który sam o sobie pamięta.

W przysłowiach jest przecież mądrość narodów, alenie zawsze bywa w nich praktyczność odbitą.

Jakkolwiek tuż blizko pod śniegami czai się widmo możliwej klęski, Warszawa sypia spokojnie i nie daje sobie psuć resztek humoru. Życie towarzyskie pulsuje spokojniej po karnawałowej gorączce, ale nie zastygło zanadto; bywamy w świecie, bawimy się, słuchamy koncertów, chodzimy na wystawy, urządzamy rauty; jeden nawet udał się tak nadspodziewanie świetnie, że będą go wspominały kroniki dobroczynności publicznej jeszcze w roku przyszłym.

Byłem na tym raucie; urządziły go panie z towarzystwa św. Wincentego a Paulo, przy pomocy p. Kazimierza Dobieckiego. Sala ratuszowa roiła się *high-lifem*, wdziękami i milionami; byłem na galeryi, gdzie z początku panowała atmosfera trebhazu, w którym hodują ananasy, później temperatura doszła do takiej wysokości nad zerem, do jakiej dochodzi, nie w salonie, ale w łaźni tureckiej.

Mimo to było nas mnóztwo wytrwałych do końca, bo na samym końcu—deklamowała p. Romana Popiel-Święcka, dawna urocza „Popielka“, słoneczko polskiej sceny, a dzisiaj mężatka i wzorowa mamusia, która szczebiocze już tylko ze swojemi ślicznemi dzieciakami i w teatrze ukazuje się tylko w loży.

Połykano ją też oczyma, gdy weszła na estradę, a słuchacze żałowali, że nie posiadają drugiej pary uszu, by słuchać tego srebrnego, milutkiego głosu, jaki dzisiaj na żadnej scenie polskiej tak nie dźwięczy.

Bodaj to mieć taki głos, i taki talent, i być taką artystką!... mieszka się zawsze w sercach publiczności, która jest gospodarzem kapryśnym; ale pewnych lokatorów umieszcza na stałej hypotece.

Na raucie było pełno, ale trzeba przyznać, że pusto nie bywa teraz nigdzie; na środach Towarzystwa Muzycznego tłoczą się ludzie, jakgdyby innych koncertów w Warszawie nie bywało. „Lutnia“... przepraszam, „sympatyczna Lutnia“ nie ma już tak dużej sali, aby pomieścić mogła wszystkich swoich wielbicieli i słuchaczy. Podobno przyszły jej koncert odbędzie się w Cyrku, a gdy i tu nie starczy miejsca dla całego audytoryum, trzeba będzie śpiewać pod gołem niebem, na otwartym placu.

„Nasi sympatyczni lutniści“ otrzymali pozwolenie noszenia odznak swego śpiewaczego cechu i odtąd na klapach ich fraków i tużurków zabłyśnie mała luteńka okolona wieńcem.

Wybierają się oni podobno do Częstochowy, a potem może gdzieindziej, z odwiedzinami do stowarzyszeń śpiewackich.

Kiedyś doczekamy się może wielkiego turnieju chórów amatorskich w Warszawie, gdy na prowincyi znajdzie się więcej dzielnych Maszyńskich i więcej „Lutni“ nastroi się do wtóru.

Jak wygląda właściwie prawdziwa lutnia, która jest firmą i emblematem naszego stowarzyszenia wdzięcznych tenorów i ponurych basów, zobaczyć można na pierwszej polskiej wystawie muzycznej w pałacu Krasińskich, urządzonej staraniem hr. Gustawa Platera.

W Katalogu rozumowanym i ułożonym przez p. Alexandra Polińskiego, a wydanym nakładem redakcyi „Echa“, znajdują takie jej określenie: „Lutnia jest jednym z najstarożytniejszych i najpopularniejszych instrumentów w XVI i XVII-m wieku; początkowo miała pięć strun, następnie liczbę ich zwiększono do 12 podwójnych (t. j. 24) najczęściej wszakże miała sześć strun, z których pięć pierwszych było podwójnych, ostatnia zaś najcieńsza, pojedyncza.“ Ilość strun powiększała się zatem, jak ilość członków w śpiewającej Lutni. Te podwojone struny wszelako dały mi do myślenia, dojrzałem w nich symbolikę, której dotąd nie uwzględniano widocznie w zarządzie kierowniczym towarzystwa. Jedna struna, najcieńsza do tego i pojedyncza—to dyrektor Maszyński, ale reszta strun parzystych najwyraźniej zdaje się wskazywać, że chór powinien być mieszany, że obok tenorów gładkich powinne rozbrzmiewać jeszcze gładsze soprany, obok basów—alty? Wtedy dopiero „Lutnia“ odpowie zupełnie swej nazwie.

Był projekcik założenia amatorskiego chóru żeńskiego, w roku zeszłym; ale inicyatywę postawił ktoś z taką pensyonarską nieśmiałością, że jej nawet dobrze nie dosłyszano. We Lwowie tymczasem lutniści, pospołu z lutniskami, śpiewają już całe oratorya i porywają się na poważne dzieła wyższego nastroju, które pomimo technicznego wyrobienia głosów i śpiewu naszej „Lutni,“ nie mogą rozszerzyć jej repertoaru, ograniczonego do samych kwartetów.

Trzeba tedy nawiązać drugie struny do pary, a wtedy „dwóch lutni ożenione głoski“ stworzą dopiero pełną harmonią.

O wystawie muzycznej nie wiele mam do powiedzenia; stworzyły ją — dobre chęci. Jak dotąd, największym wabikiem i najciekawszym numerem wystawy były popisy improwizowane łaskawych muzyków i dezury artystek dramatycznych, sprzedających katalogi i fotografie u wejścia.

Trąby, bębny, kotły, piszczałki, skrzypce, altówki i wiolonczelle, fortepiany i pianina, w ogóle instrumenta dęte i rżnięte, nie przedstawiają znowu tak wiele interessu dla naszej publiczności, aby się im aż dziwić miała.

Więcej już zajęcia budzą teorbany, kobzy, liry, gęśle, rogi, claveciny i szpinety; najwięcej zaś instrumenta samogrające, pomiędzy któremi jest jeden do złudzenia naśladujący orkiestrę p. Lewandowskiego lub Sonnenfelda.

Mnie, profana, najbardziej zajął dział pamiątkowy, a w nim spuścizna po Szopenie, z maską pośmiertną, z odlewem genialnej ręki, z listami jego, z drobiazgami, które dawniej należały do niego; nie mogłem się oderwać od tych martwych na pozór przedmiotów, bo mi się zdawało, że w nich gra jakieś echo życia zmarłego ich właściciela. Przystępuje się do pamiątek po wielkich geniuszach, po wielkich mistrzach, jak do relikwiarza, z jakimś pietyzmem pośmiertnej czci, z jakąś pokorą maluczkich; głowa schyla się mimowoli, na ustach cichną słowa, serce drży i bije podwójnem tętnem...

To może przesada, ale wyznaję, że nie śmiałbym usiąść na krześle, na którem siadywał Szopen, ani położyć rąk na klawiszach Pleyel'owskiego fortepianu, po których aksamitne jego palce ostatni raz się przesuwały.

Wątpię: czy wszystkie pamiątki, wystawione w tym dziale, budzić będą równą cześć u potomnych; przypuszczam nawet, że nad niektóremi uśmiechnie się pobłażliwie przyszłość i pójdzie dalej.

Pomieszczono je tutaj, aby... powiększyć numera okazów i nie obrazić miłości własnej posiadaczy.

Nie chcę wchodzić w szczegóły, bo muzycy to *irritabile genus*; zadrasnąłbym czyją drażliwość i miałbym wroga na całe życie, jeżeli nie awanturę, a pojedynki są dzisiaj znowu na porządku dziennym.

Nazywa się to honorową satysfakcyą, a powstało z „sądów Bożych“; marny robak jestem, jeżeli Pan Bóg miesza się w te sprawy i przyjmuje w nich rolę sędziego!...

Słyszeliście też o ostatnim wypadku, jaki się wydarzył na prowincyi?... odsłania on całą nicość i niemoralność tak zwanych rozpraw honorowych, z bronią w ręku Oto młody, szlachetny chłopak staje w obronie pokrzywdzonej siostry, zmusza czynną obelgą jej byłego narzeczonego i potwarcę do dania satysfakcyi, staje na placu i nie wystrzeliwszy nawet, pada na miejscu, ugodzony śmiertelnie kulą przeciwnika. Sprawiedliwy los (!) rozstrzyga w ten sposób sprawę honoru, że do upokorzenia i krzywdy dołącza niewinnie ukaranym śmierć syna i brata...

Dajcie pokój, — każdy woźny sędziego gminnego, bez prawa i kodexu, chłopskim rozumem rozstrzygnąłby sprawiedliwiej i uczciwiej taką sprawę, niż ów samozwańczy „sąd Boży,“ który średniowiecznym obskurantyzmem zamąca dziś jeszcze umysły zbyt gorące.

A jednak, jak trudno wprowadzić nowsze, postępowsze, oświeceńsze, pojęcia i środki, na rozwiązywanie spraw takich; jak trudno wytworzyć instytucyą i regulamin zwyczajowy i obyczajowy, któryby zastąpił rozprawy honorowe z bronią w ręku... Ja sam, który przeciw temu powstaję, czuję, że w danym wypadku musiałbym zrobić jak inni, gdyby mi przyszło bronić honoru tym jedynym, uprzywilejowanym najniesłuszniej środkiem, który opinia publiczna przywykła uważać za godziwy i rozstrzygający.

Siła przesądów terroryzuje jeszcze najoświeceńsze ludy...

Żyjemy zresztą w czasach tak denerwujących, rozdrażniamy się tak często i tak łatwo, że anormalny stan anormalnych środków wymaga.

Weźmy naprzykład dziennikarstwo i krytykę; do czego służy dziś drukowane słowo, jeśli nie do kłucia i drapania?.. modny styl dzisiejszy jest naprawdę *stylusem*, którym się cudzą skórę z jakąś dziką fantazyą Huronów tatuuje.

Nie chodzi o to, aby powiedzieć komuś prawdę zasłużoną, ale, aby ta prawda jak najboleśniej i najdotkliwiej oczy ludzkie wykłuwała; na właściwą drogę naprowadza się za ucho, błędy wytyka się szpilkami, jakiś grubiański, brutalny ton ma służyć za mentorstwo, a pióro służy za szpikul w ręku ludzi, którzy się uważają za powołanych do naprawiania świata impertynencyą, imponowania mu butą i zarozumiałością, spełniania katowskiego obowiązku pod publicznym pręgierzem.

Ależ jeśliśmy chorzy, potrzebujemy poważnych i rozumnych lekarzy, nie konowałów; jeśli nam nawet potrzeba krwi upustu i operacyi,—niechże to robią chirurgowie, nie rzeźnicy.

Już Heine powiedział, parafrazując Schillera, że *das Schrecklichste der Schrecken ist der Kampf mit Ungeziefer*...

Doświadczać przychodzi teraz tej smutnej prawdy.

Występowałem zawsze przeciw temu niechlujstwu, drukowanemu razem z poważniejszą częścią prassy, i jestem pewny, iż mam po swojej stronie zastęp czytelników, którzy szanować pragną dziennikarstwo pod warunkiem, iż ono nietylko w treści, ale i w formie swej szanuje siebie samo.

Zawód pisarza jest urzędem publicznym i godnością ludzi i umysłów dojrzałych; trzeba w nim zachowywać powagę. Można być bardzo gorliwym i surowym kaznodzieją, ale nie trzeba wygrażać słuchaczom pięścią, można się spierać, ale nie należy się pienić i zapluwać.

Gdyby przynajmniej było o co skakać sobie do oczu i wydzierać sobie włosy z czupryny! Najczęściej o drobiazgi, o głupstwa, o kwestyjki godzinne nawet, nie całodzienne, o osobiste drażliwości, albo o rubla mniej lub więcej toczą się walki kogucie. A życie takie krótkie, a tyle jest w niem do zrobienia ważnego przed śmiercią, która nas wszystkich pogodzi i ułoży, bo, niestety, umierać musimy: nawet Cesarz Wilhelm umarł, jak to zapewne wiecie.

Quis.

BYRON.

(Dalszy ciąg).

Znajomy Byrona, Dallas, autor pamiętników o nim [1]) zajął się wydaniem przywiezionego w tłu-

1) *Recollections on Lord Byron;* London 1824.

mokach podróżnych *Childe-Buruna*, pierwotnie bowiem bohater poematu, cóś między rycerzem a kawalerem, nosić miał starożytne Byronów nazwisko. W pierwszym dniu Marca 1812 r., dwie pierwsze pieśni nowożytnego ducha poezyi w staroświeckich strofach spenserowskich, dziewięciowierszowych, ukazały się w księgarniach londyńskich. W kilka dni później autor, przebywający wówczas w stolicy Anglii, miał zupełne prawo powiedzieć o sobie to, co mu kładzie w usta Moore: „Pewnego pięknego poranku obudziłem się sławnym człowiekiem.“ Cała intelligencya, „towarzystwo“ stolicy, damy i kawalerowie, wszystko, co czytywało poezye, a przynajmniej uważało sobie za punkt honoru mówić i rozprawiać o nich—nawet wielu poetów i krytyków, wszystko to wydało w pierwszej chwili jeden okrzyk uwielbienia. Od poematu szedł na ludzi powiew, jakby od wschodzącego słońca; swoboda myśli głębokość subjektywizmu byronowskiego czarowały; uczucia tęsknoty, żałości i melancholii, pałające z pierwszych zaraz strof pożegnania wywierały urok, z którego nie umiano sobie zdać sprawy; odczuwano tylko potęgę jakiegoś tajemniczego ducha kryjącego się poza wierszami, a imaginacye żywsze, wrażliwsze, zwłaszcza kobiece malowały go sobie jako strąconego z niebios anioła. I tem piękniejszym był, że strąconym. Wagę rzeczywistej piękności fizycznej, piękności tak wielkiej, że jej wcale nawet nie kaziła nieuleczalna już kulawość nogi, podnosiło jeszcze wrażenie domniemanej piękności i duchowej. Twarz Byrona była jedną z najpiękniejszych, jakie zapamiętano u ludzi wyższego namaszczenia. Rozumiem to, że kobiety szalały, bo prócz uroku *Childe Harolda*, prócz pięknej fizyczności, miał jeszcze Byron opinią *du mauvais sujet*, wysłużywszy ją sobie nanowo, już po śmierci matki, po przeniesieniu się do Londynu, wśród odurzających uciech i szaleństw, godnych dandysa, zazdroszczącego sławy Brummelom. Ale i na mężczyzn wywierał poeta urok ogromny, jako piękne zjawisko i niepohamowaną energia myśli i życia. Walter-Scott mówi, że Burns miał piękniejsze oczy; ale ani on, ani nikt inny nie odpowiadał w takim stopniu ideałowi postaci poetycznej, jak Byron. „Żaden portret nie zdoła go odtworzyć; będzie światło, ale ognia nie będzie. Było to jedno z tych oblicz, które się w snach widuje“. Henri Beyle (Stendhal), ujęrzawszy poraz pierwszy Byrona w Medyolanie, w La Scala, tak swe wrażenie opisał: „Zaskoczyły mnie nagle jego oczy.. W życiu mojem nie widziałem nic równie pięknego i pełnego wyrazu. Dziś jeszcze ta wspaniała (*sublime*) głowa, błyska mi z mroku niepewności, ilekroć pomyślę nad tem, jakiby wyraz wielki malarz nadać powinien geniuszowi. Przez chwilę byłem oczarowany. Nie zdołam nigdy zapomnieć boskiego wyrazu tych rysów. Widziałem w nim jasną samowiedzę potęgi i geniuszu.“ Poeta kończył wtedy rok dwudziesty dziewiąty; w dwudziestym czwartym boskość jego zjawiskowa musiała być jeszcze potężniejszą. I dziwić się tu, że go sobie wyrywano w towarzystwach, że kobiety marzyły o tem, aby być bohaterkami jego poematów, biorąc jego za bohatera, że przebierały się za różnych paziów i niepaziów, że mu drogę życia wysypywały kwiatami najtkliwszej kobiecości!

Noszony na rękach, rzucił się w wir uciech, i w odmiennych tylko formach prowadził dawniejsze wyuzdane swe życie z Newstead - Abbey. Całe trzechlecie przepędzone w Londynie, aż do końca roku 1814, było jednem pasmem szałów nadużywających czystego imienia miłości. Zdrowie moralne i zdrowie fizyczne zarówno od nich cierpiały. Tylko potężny talent, w swoim czysto formalnym zakresie, stał niewzruszony i wzburzone mętne fale życia obijały się bez skutku o mózg niesłychanej wytrzymałości. Człowiek ten miał jakby dwa istnienia; podwójne jego życie biegło po liniach prawie do siebie równoległych, których punkt wyjścia z żywej istoty znajdował się tak daleko, że go odrazu niepodobna było dostrzedz, i widziałeś tylko rozłam na potęgę dodatnią, jaką była twórczość, i ujemną, jaką był człowiek *in actu*.

Wśród odurzających uciech talent nie marniał, a umysł patrzał w świat i umiał najpoważniejsze jego zadania umysłowo odczuwać—ale tylko dla pisania pięknych wierszy. W dzienniku swoich przygód i wrażeń zapisał Byron, w owym okresie życia, niejednę myśl dowodzącą czułości na wielkie bóle wieku i niepodległości umysłu. Po abdykacyi Napoleona w Fontainebleau wystosował do niego odę, wyrażającą poetyczne przekonania, w których dziś niewiele zmienić byłoby potrzeba. Waszyngtona nazwał w niej Cyncynatem Zachodu. W r. 1812 d. 27 Lutego, ujął się w Izbie Lordów za tkaczami Nottinghamu, którzy potłukli maszyny i za to mieli doznać całej surowości przedstawionego przez rząd prawa powściągającego (*Frame-Work Bill*); d. 21 Kwietnia wypowiedział mowę za emancypacyą Katolików, których sprawę poruszył był wtedy earl of Donoughmore, i bardzo trzeźwo, wymownie, w sposób przekonywający dla rozsądku, (miejsce jego w Anglii zajmowała jeszcze wówczas namiętność anglikańskiej nienawiści), wykazywał konieczność wysłuchania skarg i polepszenia losu milionów ludzi. Stał tu na prawdziwie godnym poetów gruncie praw człowieka, jak znowu w „Odzie do Napoleona“ bronił ideału wolności, a w późniejszych utworach swoich złorzeczył wszelkim więzom—prawda, że i takim, które były tylko potrzebnemi wiązadłami niezbędnego porządku. Ostatni raz wystąpił jako lord w Izbie, wnosząc petycyą niejakiego majora Cartwrighta (Czerwiec 1813 roku), pokrzywdzonego przez władze bezpieczeństwa publicznego i wojsko w Huddersfield. Były to wszystko tylko improwizacye; do ciągłego korzystania ze swoich praw w Izbie nie miał poeta dość spokojnego umysłu. Żadna praca stała i ciągła przywiązać go do siebie nie mogła. Był poetą, gdy pisał wiersze, poetą, gdy wygłaszał swe mowy: tu i tam jednego szukał zadowolenia.

Childe Harold doczekał się już w r. 1813 nowego wydania, a poczytność jego nie zmniejszała się wcale przez czas. Przybywały do niego nowe poemata,—fantastyczne, rdzennym bajronizmem przejęte, a na tło Wschodu rzucane. We Wrześniu 1812 r. ofiarowuje Byron jednemu z Poetów Jezior, Rogersowi, z którym żył dobrze,—swojego *Giaura*. W r. 1813 Holland otrzymuje *Bride of Abydos*, napisaną w cztery dni. W końcu tegosamego roku oddany już jest do druku *The Corsair*, poświęcony Moore'owi. [1]) Po nim następuje dalszy jego ciąg *Lara*. Na prośbę swego „przyjaciela“ Kinnairda, pisze Byron w końcu r. 1814 do zbioru pieśni religijnych ze spiewami piękne swoje *Hebrew Melodies*. W Styczniu 1816 puszcza w świat *Sieg of Corinth*, przypisane Hobbouse'owi a osnute na wypadku z r. 1715, kiedy jeszcze Wenecya stawiała czoło Turkom na ziemi Greków. Współcześnie wychodzi *Parisina*, okrucieństwo z dziejów Ferrary w XIII wieku. Oprócz tego Byron nieprzerwanie rzuca na papier drobne liryki, zebrane w wydaniu Tauchnitza w *Occasional Pieces*. Głos do *Thyrzy* uderza czystością brzmienia. Osobistość tego przedmiotu miłości Byrona dotychczas tajemnica osłania; uczucie samo przypadło na drugą połowę roku 1811, pomiędzy skon matki a wyjazd do Londynu.

Na hulaszcze życie nie wystarczały dochody z majątku; znikały bez śladu w otchłani rosnących ciągle, gorączkowych potrzeb, zarówno przyzwoite już wcale dochody z ogłaszanych utworów, jak renta pozostała po matce. Poezya opłacała się Byronowi świetnie i pod względem materyalnym. W ciągu trzech dni księgarnie londyńskie sprzedały trzynaście tysięcy exemplarzy *Korsarza*. W kieszeni przecież były ciągłe pustki. Równowagę w budżecie utrzymywały coraz to nowe długi, zaciągane na Newstead-Abbey; ale i ta już polityka finansowa zaczęła się okazywać bezwładną. Innego nie było ratunku nad bogaty ożenek. Cały przecież blask imienia bajronowskiego nie oślepiał rodziców posażnych panien, a niesłychana wziętość poety w pięknym świecie raczej ich odstraszała. W końcu r. 1813 Byron zaczął się starać o przystojną, wysoce wykształconą, 22-letnią, Annę Izabellę Millbanke, córkę i jedyną dziedziczkę bogatego baroneta Ralpha, Noela Millbanke: dostał arbuza, ale osłodzonego utrzymaniem nadal towarzyskich stosunków, i nawet korrespondencyą, oczywiście tylko umysłu z umysłem. Listy panny nie tuczyły. Radził się poeta „przyjaciół“ swoich: czy uderzyć do nowego jakiego serca, czy też nowy szturm do dawnego przypuścić? Skończyło się na liście do panny Millbanke. Był on waryacki, ale pannie wytłómaczono, że właśnie odznacza się niesłychanym wdziękiem wysłowienia. Rodzice panny ulegli: młodzi zaręczyli się, a d. 2 Stycznia 1815 roku stanęli przed ołtarzem. Poeta sprzedał się za posag. Nawet jedyny jego przyjaciel, Moore, mówi, iż żenił się bez przywiązania; ani z jednej ani z drugiej strony nie było miłości. Ratując swe położenie majątkowe, Byron teraz już na prawdę zaprzepaścił swą duszę. Małżeństwo to mści się na nim nawet jeszcze po śmierci.

Małżeństwo miało dla Byrona znaczenie suto wypełnionej kassy. Miłości nie szukał, czara rozkoszy przelewała mu się przez brzegi, a wszelka stałość, wszelka powszedniość była dla niego jarzmem. Dziesięć tysięcy funtów, wziętych w posagu za żoną—pociągały wietrznika nieprzepartym urokiem. Newstead-Abbey wydawało się już teraz kątem zabitym deskami, odgrodzonym od świata. Państwo młodzi przyjechali do Londynu, urządzili sobie wspaniałe appartamenta, dwór, służbę, przyjęcia i cały sposób życia magnacki, na stopę angielską magnacki. Lord musiał, chcąc nie chcąc, zaspakajać ciekawość dawnych swych wierzycieli, dopóki nie zaskarbił sobie ciekawości nowych. W ogniu zbytków stopniała i rozporządzalna część owych 10,000 funtów żony i 8,000 szczęśliwie spadłego na męża dziedzictwa. Ośm razy schodzili komornicy sądowi i w końcu sprzedali nawet książki, nawet łoża małżeńskie. Fałszywa duma kazała Byronowi odrzucić przysługę życzliwego mu nakładcy, dotychczas wydanych poematów, człowieka światłego, prawego, jakby z duchowego rodu Aldów i Januszowskich—Murraya; chciał on uratować poecie księgozbiór i zaliczał mu półtora tysiąca funtów na przyszłe honorarya. Zgoda małżeńska zaczęła się już po półrocznem pożyciu pokrywać rdzą nieufności i niechęci. Byron jeszcze w r. 1812 wszedł był do stowarzyszenia „Drury Lane Theatre”, a teraz miał z tego powodu wydatków dużo, i pokus niemało. Nietylko żonie, ale i publiczności londyńskiej nie podobało się przesiadywanie poety między artystkami płci pięknej. Ważniejsze jeszcze były przypomnienia dawnych znajomości, które, jak Lady Lamb, narzucały się aż do uprzykrzenia. Ruina majątkowa była wspólną zasługą, ale mąż, jako silniejszy i w prawie i w odpowiedzialności, silniej też i więzami obowiązku powinien się był krępować. W pożyciu domowem bywał aż nadto często niepojętym dziwakiem i zakrawał nieraz na waryata; podniecenie nerwów wprawiało go w szał zachwytu lub gniewu; w paroxyzmie takim chwytał i rozbijał, co mu wpadło pod rękę. Przypominał krajobraz, w którym nie widziałeś nic prócz przepaści i szczytów, gór i mroków; z turni górskich, z szumiących borów, wypadały drapieżne źwierzęta i szarpały ciche szczęście małżeńskie. Trzeba pamiętać, że pani Byron w Grudniu (d. 10-go) 1815 r. została matką i miała prawo do spokoju, jakiego jej nie dawał ani mąż, ani jego wierzyciele, ani jego dawne stosunki. Miała prawo przynajmniej do tego, aby mąż nie strzelał w pokoju z pistoletu. Była to kobieta, jak na kobietę, prawie uczona, kochająca wiedzę, rwąca się do metafizyki, zajęta nawet matematyką, i zarówno w zajęciach umysłu, jak w zasadach życia poważna. Postąpiła nierozsądnie, powierzając los swój takiemu sowizdrzałowi, takiej nieujętej rozprężliwej organizacyi; lecz odpokutowała to ciężko, że za pierwszem natchnieniem swojem nie poszła. W złamaniu woli pierwotnej ujawnił się tylko ten fenomen życia rodzajowego, który może zbyt jaskrawo ktoś nazwał, ale dobrze pojął: mianowicie, że „największe szczęście do kobiet — oczy-

1) Poeta napisał go, od pierwszego do ostatniego wiersza, w ciągu dziesięciu dni.

wiście, nie do wszystkich—mają galernicy“, —istoty w życiu czynnem ujemne.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ŻYCIE I PRACA

przez

Samuela Smiles'a.

(Dalszy ciąg).

Do rzędu ludzi wielkiej wytrwałości zaliczyć trzeba Pasteur'a. Był on ubogi i w siedmnastym roku życia już pracował na siebie, uczył się o własnych siłach. W liceum w Besançon, aby być uwolnionym od opłaty szkolnej i mieć zapewnione utrzymanie, pełnił obowiązki dozorowania uczni klas niższych, pilnował porządku w sypialniach i w godzinach przeznaczonych na przygotowywanie się do lekcyi, towarzyszył im do kościoła i na przechadzki, sam ucząc się po większej części w godzinach, które snowi odkradał. Nauki przyrodnicze pociągały go już i wtedy; jeden z podwładnych mu uczniów posiadał bardzo dobry mikroskop, którego pożyczał mu niekiedy. Pasteur zaproponował raz wzięcie tego mikroskopu na spacer po wałach miejskich, dla przyglądania się chwytanym owadom, i była to chwila wyroczna w jego życiu, bo w głowie studenta zrodziła się wtedy myśl, która zadecydowała o przyszłości uczonego. Pasteur oddał się od tego czasu studyom mikroskopijnym; najpierw, już używając sławy uczonego, zbadał przyczynę chorób winnej macicy i jedwabników, dalej powody gorączki tyfoidalnej, a teraz jak wiemy, dokonywa wielkiej wagi doświadczeń nad zarazkami wścieklizny i został zaliczony do liczby tych ludzi, którzy przez wielki pożytek, jaki ludzkość z pracy ich wyniosła, wielkimi zostają.

Większość ludzi wielkich przez zdobycze swe w nauce pracowała bezinteressownie, nie dla korzyści materyalnych, nie dla wyniesienia się własnego, ale dla dobra ogółu i z zamiłowania przedmiotu studyi swych, co stanowiło ich wielkość moralną—ich wielkoduszność. Ludwik XIV ofiarował Spinozie pensyą dożywotnią, która podnosiłaby go nad wszystkie braki i troski powszedniego życia, przecież z warunkiem, aby mu ofiarował dzieło swoje. Spinoza, który utrzymywał się z polerowania szkła dla optyków, podziękował królowi, ale ofiary nie przyjął. Szlachetna duma nie pozwalała mu na to, chciał zachować niepodległość umysłową.

Zajęty, obok nauki, pracą na chleb, tak nie miał już czasu na żadne używanie życia, że niekiedy po kilka dni nie wychodził ze swego pokoju.

Praca naukowa pochłaniała podobnie niejednego z poświęconych jej ludzi. Matematyk węgierski, Pater, sypiał w lecie tylko dwie godziny na noc, w zimie cztery, z powodu, że te godziny nocnego czuwania mogły być najswobodniej oddane pracy. Bayle siedział dziennie przy biurku po godzin czternaście i to przez lat czterdzieści.

Można obok tych wielkich pracowników postawić Kraszewskiego. Przez cały ciąg lat spędzonych w Dreznie, pracował regularnie z piórem w ręku od godziny szóstej popołudniu do drugiej w nocy. Wstawał potem o ósmej rano, i wraz ze śniadaniem już rozpoczynał pracę innego rodzaju: przeglądał dzienniki z dnia ubiegłego, potem czytał odebrane listy i odpisywał natychmiast na każdy, choćby ten pochodził od osoby najpokorniej postawionej między ludźmi. O dziesiątej ubierał się i od jedenastej do dwunastej przyjmował odwiedzających go lub interes jakiś mających doń ludzi. Potem jadł obiad; o drugiej godzinie wyjeżdżał na miasto, oddawał odwiedziny, przeglądał księgarnie; wróciwszy do domu: grał, pił herbatę i o szóstej, zaraz potem, siadał do pisania, mając przyszykowaną na czas nocnego czuwania szklankę wody z cukrem i dwa sucharki. Wyjątki od tej zakonnej reguły pracy czynił bardzo rzadko dla szczególniej miłych mu lub zasłużonych ziomków, którym poświęcał coś tak odmierzonego czasu. Wakacyami i odpoczynkiem dla organizmu były tylko wycieczki podróżnicze, zawsze złączone z jakimś celem naukowym lub artystycznym. Tą systematycznością pracy, iście benedyktyńskiej, tym jej regulaminem surowym, wyjątkowo naruszanym, można jedynie wytłómaczyć sobie zadziwiającą płodność jego pióra. Mnóztwo ludzi obrażało się na niego, nazywało go pysznym, nazywało go zimnym, odludkiem, a ten odludek pracował przecież dla społeczeństwa swego i za cenę tego odosobnienia i poświęcenia się całkowicie zadaniom pracy swojej, zdołał zostawić mu po sobie ten spadek drogocenny, tę puściznę, która się stała ogromnym majątkiem ogółu. Na płodach jego pióra uczyły się czytać pokolenia całe, i niemała część dzieł jego pozostanie w skarbcu literatury naszej na jej fundusz żelazny, na jej ubogacenie nieśmiertelne. *Stara baśń*, *Lublana*, *Bolesław Śmiały* z cyklu powieści historycznych i znaczna część powieści z cyklu wołyńsko-poleskich: *Budnik*, *Jermoła*, *Chata za wsią*, nie przeżyją się nigdy.

Astronomowie muszą być z konieczności niezmordowanymi badaczami. Galileusza i Kopernika stawia Smiles między najgoręcej zamiłowanymi w pracy swojej. Obaj żyli długo i obaj do końca życia oddawali się z pilnością, z pracowitością niezmierną studyom swoim. Tycho de Brache przez dwadzieścia jeden lat pracy w obserwatoryum w Hrën, niemal nigdy go nie opuszczał. Heveliusz badania nad księżycem prowadził pracowicie do sześćdziesięciu siedmiu lat życia. Astronom angielski, Bradley, człowiek bogaty i posiadający już dość sławy, bo Newton uważał go za najpierwszego astronoma w Europie, oddawał się swej mozolnej, bo nocnej, pracy przeszło do lat siedmdziesięciu. W przeciągu lat dwudziestu obserwacye jego zapełniły czternaście tomów *in folio*.

Praca nocna nie jest zatem tak szkodliwą dla zdrowia, jak to przypuszczają ogólnie, jeżeli tylko życie samo nie jest drugostronnie wyczerpywanem, nie jest oddanem na męczącą służbę świata, lub podkopywanem przez jakieś szały, czy dzikie namiętności. Może z powodu, że nauka pracowicie zajmująca, broni właśnie od tego, astronomowie zaznaczyli się szczególnie długiem życiem i nad zwykły kres przechowywaną czerstwością. Wiliam Herschel i jego siostra Karolina Lukrecya, pędzili możliwie najpracowitsze życie, tak pod względem obserwowania nieba, jak wyrachowań astronomicznych, a przecież pracowali tak niemal bez zmiany do końca życia. Pierwsze z rodzeństwa żyło ośmdziesiąt cztery, drugie dziewięćdziesiąt ośm lat.

Humboldt—Alexander von Humboldt, należy do ludzi najdłużej pracujących w świecie, choć płodność jego była zadziwiająca. Był-to człowiek ogromnej pracy i zarazem niesłychanie czynny. Dnie miał tak zajęte, że naukowo musiał pracować głównie w nocy, albo bardzo rano, wtedy, kiedy większość ludzi śpi w najlepsze. Umarł w dziewięćdziesiątym roku życia, a do sześćdziesięciu lat wstawał regularnie o czwartej rano, i dopiero już potem zaczął sypiać, a przynajmniej leżał w łóżku, do ósmej, przecież do śmierci pracował w nocy. Uniwersalne jego wykształcenie musiało spotrzebować niemało czasu, aby zdobytem być mogło dla umysłu, gdy w dodatku nauki fizyczne, tak pracowite przez konieczność opierania się na wyrachowaniu, stanowiły jego specyalność. Jego receptą na pożyteczną i niemęczącą pracę umysłową było: pogoda umysłu; zamiłowanie do pracy naukowej w jakiemśkolwiek jej oddziale specyalnym; czyste, słodkie uczucie używania rozkoszy natury. Jego własne życie i owoce pracy są najlepszą illustracyą skuteczności tego przepisu.

Humboldt studyował w młodości górnictwo i metalurgią, skończył porządnie naukowe kursa w tych przedmiotach i następnie został superintendentem górnictwa w Bayrucie. W tym czasie pisywał wiele artykułów naukowej treści do różnych peryodycznych pism niemieckich, obok tego przygotował do druku, znakomite dzieło botaniczne: „Flora Friedburgu.“ W tymsamym czasie pisał i wkrótce wydał: „Badania muskułów i fibrów nerwowych“ oraz traktat o gazach podziemnych. Ale chęć poznania: „palące pragnienie podróży, zwiedzenia odległych i niezbadanych jeszcze krain...“ nie dało mu usiedzieć na miejscu. Porzucił urząd i w towarzystwie francuzkiego naturalisty, Baupland'a, puścił się do Ameryki Południowej. We dwóch podróżowali tak przez lat pięć i odkryli dla wiedzy naukowej, zdobyli ogromne przestrzenie pierwotnego świata, które zbadali i opisali. Powróciwszy z wyprawy, zamieszkał Humboldt w Paryżu, gdzie jedenaście lat pracowicie umysłem przetrawiał i systematyzował poznane i z trudem wielkim uzbierane fakta.

Był-to czas, w którym do druku przygotowywał i drukiem ogłosił kilka swoich znakomitych dzieł. Skończywszy z tą pracą pierwszego peryodu, puścił się znowu w świat: do Anglii, do Włoch, do Rosyi i Syberyi, a znów podróże te wydały nową seryą szacownych dzieł. Miał rok siedmdziesiąty szósty, gdy zabrał się do *Kosmosa*, a dzieło to jest już treścią wiedzy jego o świecie, doprowadzonej do poetycznej jedności: treścią jego naukowej pracy całego życia.

Brat jego starszy, Wilhelm, był też uczonym człowiekiem, filozofem i lingwistą, używającym w Niemczech równej sławy, jak Alexander, a była to sława europejskiego rozgłosu i przez lat czterdzieści Wilhelm von Humboldt, uważany był w świecie naukowym za powagę pierwszorzędną, w zakresie swoim najpierwszą, i on to napisł właśnie w tym czasię naukowej apoteozy swojej: „Praca według mego przekonania, jest tak potrzebną człowiekowi, jak jedzenie i picie. Dlatego też ci nawet, którzy w oczach ludzi rzeczywiście pracujących, nic nie robią, wyobrażają sobie, że dokonywają czegoś. Niéma na świecie człowieka, któryby we własnych swych oczach uchodził za próżniaka.“

Jedni pracują z zamiłowania w przedmiocie swej pracy, drudzy dla zajęcia czasu, inni dla zarobku, inni jeszcze dla sławy—inni dlatego, że nie mogą żyć bez pracy. Mają majątek, mają sławę, mają wkoło siebie ruch ożywiony, który nie dopuszcza nudy i uczucia nicości, niemniej praca jest potrzebą ich istnienia i często majątek, wyniesienie, chwała rozgłośna cięży im, ponieważ są to dla nich przeszkody w pracy.

Smiles wylicza długi szereg ludzi tak oddanych pracy, która sama sobie jest celem — pracy dla pracy. Są w tej litanii długiej mędrcy, święci, reformatorowie, uczeni, poeci, literaci rozmaitego rodzaju. Zaczynając od Pliniusza starszego, mieści tu Newtona, Lutra, Kalwina, Św. Franciszka Ksawerego, Knoxa, Wesleya. Jest tu autor *Robinsona Crusoe*, de Foe, który, wydawając przegląd miesięczny, pisał go sam cały i to w rozmaitych materyach, i zapisał tak dziewięć grubych tomów *in quarto*, a obok tego sto siedmdziesiąt cztery dzieła, z których większa część nigdy nie została wydaną. Jest tu Littré, który był najpierw lekarzem, potem publicystą, potem filologiem i autorem ogromnego dzieła: dykcyonarza języka francuzkiego, a opracował je w całości sam jeden, a na którego utworzenie powinni się byli składać wszyscy członkowie Akademii Francuzkiej, bo każdy wyraz ma tam swoję historyą, filozofią, nomenklaturę, etymologią, definicyą i synonimy swoje, a całe to przeogromne dzieło zostało dokonane w przeciągu lat czternastu. Zaczęła się ta praca w 1862 r. gdy Littré miał sześćdziesiąt dwa lata. Dzieło wyszło w czterech tomach, zawierających około 3,000 stronnic, każda stronnica o trzech kolumnach ścisłego drobnego druku, w 1878 roku.

Lecz trzeba było napisać jeszcze tom piąty—konieczny: „Supplement.“ Odważny człowiek liczący wtedy lat siedmdziesiąt sześć, zabrał się jednak do pracy, zachorował w trakcie tego, w połowie roboty, i ciekawem jest z punktu poznania natury ludzkiej to, co pisze sam o tem przejściu swojem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NA STARYM GRUNCIE.

POWIEŚĆ

Przez

M. Febroniusza.

(Dalszy ciąg).

Rok był, jak rzadko, dobry dla gospodarzy. Po silnej zimie przyszła wczesna wiosna, a była ciepła i przepadzista; wszystko się prędko ruszyło: rosło, kwitnęło, buiło w górę i w początkach Czerwca były już na łąkach trawy takie, że je niedługo kosić należało. Nowy ekonom rudawicki już też dał do kowala kosy ostrzyć. Czynny był i gospodarował tak od rana do wieczora, że stary pan *jegomość* — jak go zwali ludzie rudawiccy, tylko już dla parady dreptał koło niego.

I zwierzył mu też wszystko, a widać było, że go lubił. Konia jego, który choć dobry był i mocny w nogach, ale ciężki i pod wierzch źle pasował, zaraz w tydzień do fornalki wziął, a jemu dał ładnego, niedużego siwka, na którym wyglądał, jak pański syn. I był też grzeczny dla ludzi jak pan porządny. Nie fukał, nie krzyczał, jak inne ekonomy, a starym zwłaszcza zawsze pięknie rzekł: ojcze... matko...

Polubili go też ludzie, polubiła cała gromada, ale swoją drogą pańskiego dobra bardzo strzegł, szkody żadnej robić, po pańskich wygonach pasać nie pozwalał i nocami objeżdżał, a gdy wszędzie, gdzie należało, na łąkach, na pastewnikach wiechy pozatykał, nakazał, aby się porządku pilnowano. Potem zaraz do lasu się wziął, a że tego była rozległość duża, więc ludzi starych ze sobą brał i jeździł, aby wiedzieć, co już cudze, a co rudawickie. Granica leśna była z Porzeczem, ale tu przyjaźń była stara między tym, a tamtym dworem, więc dyfferencyi żadnej nikt nie robił. W Porzeczu nie było pana już od lat kilku, gospodarowała pani sama, wdowa. A i dzieci nie miała, tylko synowicę męża za córkę przybraną; ludzie opowiadali to ekonomowi, gdy lasy oglądał, dopowiadając i to, że ta porzecka panna była jakgdyby zmówiona z ich paniczem. Gdyby nie to, że do wojska poszedł, pewnoby już było między niemi po ślubie. Gdy już wychodził, a ona z rodzicami jego pojechała go żegnać, on jej nie chciał słowem wiązać, pierścionek oddawał, ale ona słyszeć o tem nie chciała. Miała nawet okrutnie płakać, bo ta jej niby matka na to przystawała i starsi państwo, jego rodzice, też się godzili, ale ona przeparła wszystkich i pierścionka nie wzięła. Powiedziała, że czekać będzie, choćby nie wiedzieć ile lat, choćby do siwego włosa.

— Taki i czeka — rzekł stary Sydor, co już dziadkiem tylko był — na pańskie i do żadnej zgoła roboty nie chodził i tylko się tu powlókł, bo zwyczajnie jak taki wiekowy dziad, granice znał i wiedział co do krzaczka co do drzewiny każdej, pokąd jest rudawiecka własność.—Taki i czeka...

— Na okolicę, żadnej piękniejszej niéma— dodał synowiec jego Prokop. Niby nie taka biała i rumiana jak inne panny po dworach, ale taka smukła w sobie, takie oczy ma czarne, jak gwiazdy, usta jak wiśnia, i każdy mówi, że drugiej takiej daleko szukać. Śmiała też jest aż miło, na konia siądzie i tak często do Rudawicy, do starszej pani sama przyjeżdża. Po rękach ją całuje jak matkę i kochają się jak matka z córką, tęsknią też do siebie, choć tamta, porzecka pani, nie bardzo temu rada. Żal jej synowicy, że młode lata marnie jej płyną.

— I chciałaby ją wydać za bogatszego, który się trafia pono—mruknął Sydor. — Nieboszczyk porzecki to z naszym dziedzicem wielką przyjaźń trzymał, po ojcu i dziadzie idącą, a synowicę też kochał jak swoję krew. Stryjenka zaś, to zwyczajnie stryjenka... Tak u państwa, jak u nas w chacie jednakowo to bywa: wolę swoję chce mieć, bo ją tak nie bolą łzy, które cudze dziecko wypłacze...

Stanisław słuchał i uczuł wielką, wielką sympatyą dla tej, tak wiernie kochającej, która raz danego pierścionka już odebrać nie chciała. Zapytał też: jak się ta porzecka panna nazywa?— i usłyszał imię, które bardzo lubił:—Wanda...

— A...—rzekł—Wanda, to znaczy mężna i silnie kochająca miłością mocną, jak śmierć...

Rozmarzył się tym usłyszanym kawałkiem dramatu. Jego własne życie było dramatem, więc się stał wrażliwym na każdą taką historyą doli ludzkiej, którą pokrzyżował los nieprzychylny. Przytem każda młodość, nawet wtedy, gdy sama nie kocha, interessuje się sprawą tych, którzy kochają, bo zawsze choć trochę tęsknoty za miłością w sobie nosi. Ta czarnooka, z ustami jak wiśnia, silnie przy ukochanym a dalekim stojąca, wzruszyła mu serce. Wracając z lasu do domu, myślał o niej, użalał się nad nią, poznać pragnął, a choć słońce już się ku zachodowi schylało, on rozkołysany szedł powoli. Czy on kiedy tak kochanym będzie?—myślał. Gdyby miłość taką nawet w chałupie wieśniaczej spotkał, nie wzdrygnął by się, że jest w szaty z samodziału odzianą.

Myślał smutno, dlaczego on żadnej prawdziwej miłości na drodze swej nie znalazł? Miał upodobania, doświadczał lekkich, bo przemijających nad pięknością zachwytów, ale nie kochał nigdy...

Raz byłby mógł pokochać... czuł to, ale tu sercu swojemu zakazał jednego nawet gorętszego uderzenia, i tylko doznawał teraz uczucia poniesionej straty. Zazdrościł temu Stanisławowi innemu, który ten skarb posiadał. Zła, dobra dola wydawała mu się niczem w porównaniu z tem szczęściem doznawanej i podzielanej miłości, która jest jednem życiem w dwóch istotach ludzkich.

Szedł powoli do tego domu swego, który mu był jak gniazdem, uwitem przez bociany, kędyś zza morza przylatujące. Czy bociany doznają żalu za przeszłością, zostawioną w tyle poza sobą? On ten żal czuł, czuł tęsknotę, ale niemniej już się tu przywiązał do tej pary staruszków samotnych, dla których stał się pomocą i oparciem potrzebnem. Czy życie jest dla szczęścia, czy dla obowiązku, nakazanego z góry, bo z góry nadanego? Rodząc się, już je znajdujemy, nici te, wiążące nam serca i dusze. On te wszystkie, naturalne węzły mimowoli, przez nieszczęsne jakieś przeznaczenie stargał, i oto już zadziergnęły się nowe—już się w koło niego oplątały. Mały, wyschły starowina ten, który go nazywał kochankiem... ta śnieżnowłosa, dobra, łagodna p. Róża!... Już on im jakgdyby synowskiego serca część dał, i jakgdyby część ojcowskiego, macierzyńskiego uczucia od nich wziął... Jak ten stary koło niego poczciwie zabiegał, gdy raz przebywając za długo na słonecznym skwarze, od którego w mieście odwyknął, doznał takiego bólu głowy, że się musiał w swoim pokoju na sofę rzucić, aby głowę tę bolącą na chłodną skórę poduszki złożyć. P. Róża weszła do niego już w nocy cichutko, jak anioł dobry nad łóżkiem jego stanęła, pochyliła się oddechu słuchając, i on wstrzymywać się musiał, aby rąk jej zmarszczonych do ust, jak syn nie przycisnąć.

Tak! Człowiek, krom samolubów, nie może żyć pojedynkiem takim, jak dzik w lesie. A nawet dziki takie najsroższe są, i tną okrutnie kłem swym zakrzywionym. Człowiek musi coś kochać, do czegoś się sercem przytulić, gdzieś ognisko takie mieć, gdzieby sobie serce grzał. On znalazł to wszystko u ludzi tych poczciwych i nie darmo, o nie darmo im służy. Nie odstąpi ich też nigdy — nigdy już obojętnie się od nich nie odwróci i gdyby los jego najszczęśliwiej się miał odmienić, nie zapomni nigdy, że go kiedyś ciepłem swego serca ogrzali.

Gniewał się na siebie, że mu nawet myśl taka przez głowę przejść mogła — myślał, że jednak natura ludzka jest w głębi swej złą.

W takiej ze sobą rozmowie do wrot dziedzińca się zbliżał; lecz zaledwie się w nich znalazł, nagle drgnął i przystanął. Na stopniach ganku ujrzał taką, jak mu Prokop opisywał, wysmukłą postać młodej panny, w czarnej długiej sukni od konnej jazdy, której długi ogon trzymając zręcznie, na rękę zarzucony, żegnała się z p Michałową. Ta całowała ją w głowę; jak matka wpół objąwszy, przycisnęła ją sobie do serca.

— Niedługo, niedługo znów się tu pojawię— mówiła piękna dziewczyna melodyjnie dźwięcznym głosem.—Tak mi tam w mieście było nudno, duszno i tęskno do swoich kątów, do ludzi tu zostawionych, że teraz to sobie nagrodzić chcę. Razporaz wyrwę się i tu wpadnę, choć na chwilę, na jedno piersi odetchnięcie.

Z ganku zeszła, na jego ostatni stopień przez p. Michałową sprowadzona. Hryć konia jej trzymał, a nikogo z nią nie było, żadnego sługi, choćby chłopca stajennego. Widocznie wyrwało się tak, jak mówiła, może nawet nie powiedziawszy gdzie jedzie—na jedno odetchnienie piersi, uciskanej przymusem.

Po tem co Stanisław od Prokopa słyszał, przypuścić to mógł. Pociągnęła go też żywo chęć usłużenia jej i gdy się do konia zbliżała, on nagle przed nią stanął z kapeluszem w ręku.—Stanisław Starowiejski—rzekł, prezentując jej się dwornie, zanim do wsiadania jej pomógł, a czynił to tak, jak ktoś, wiedzący dobrze, jak się do tego wziąć należy. Ona, zadziwiona trochę i pytająca się, kto to taki być może? skłoniła mu się na podziękowanie z konia już, a on znów ukłonił się głęboko i z uszanowaniem wielkiem.

Ruszyła z miejsca galopem, prosto i bardzo wdzięcznie na nim siedząc, ale zaraz za wrotami, które Hryć pobiegł przed nią otworzyć, zwolniła biegu i raz jeszcze powtórzyła pytanie: Kto to taki?

Nawet przez szpaler grabinowy, który dziedziniec i dalszy za domem rozciągający się ogród otaczał, puściła wzrok ciekawy. O nowym ekonomie już wiedziała, p. Michałowa wyspowiadała jej się z tego zbytku i razem ulgi, jaką to w życie ich wniosło; ale p. Wanda nie mogła jakoś wyobrazić sobie, aby ten układnie grzeczny panicz, który jej się tak elegancko prezentował, był nim. Stanisław miał przecież na sobie tę szaraczkową sukmankę z czarnemi pętlicami, na Świętojańskiej ulicy kupioną, ale ona nie patrzyła na suknie, które przytem nie odejmowały Stanisławowi jego szykowności i ruchu człowieka, nawykłego do pewnych form towarzyskich.

On posyłając też wzrok za piękną panną, żałował tego, co uczynił, bo było to przekroczeniem granicy, poza którą chciał i w położeniu swojem powinien był, się trzymać. Dlaczego się prezentował? Sam tego nie wiedział. — Zapomniał się. Chciał posłużyć tej wdzięcznej dziewczynie, bo to, co o niej słyszał, pociągało go ku niej i—zapomniał się...

P. Michałowa dziękowała mu przecież, dziękowała nawet bardzo, że się tak znalazł, jak na zawołanie i czyniła to szczerze, bez żadnej ukrytej myśli. Z natury nie była podejrzliwą. Jak wogóle ludzie, którzy sami złymi nie są, nie łatwo posądzała innych o fałsz, o zamiary podstępne, a mąż był pod tym względem podobnym do żony i, choć nieraz mówili sobie, że ten ich ekonom na zwyczajnego ekonoma nie wygląda, widzieli w tem tylko jakąś nieszczęśliwą zmianę losu. P. Michał zwłaszcza myśląc, jak to i im trzeba było w niejednem od dawnych nawyknień odstąpić, zejść z zajmowanej niegdyś pozycyi, smutnie wśród takich rozmów z żoną powtarzał:

— Złe czasy... moje życie—złe czasy. Ludzie muszą ciężko na kawałek chleba pracować.

Stanisław dużo tego ciężaru czasów z jego biednych, starych bark zdjął. Starzec polubił go bardzo zaczął się nawet przywiązywać do niego.—Dobry chłopak... dobry... dobry —mawiał żonie prawie codzień, widząc, jak to i tamto poprawiało się wkoło niego i byłby się srodze rozgniewał, gdyby ktoś tknął Stanisława jakiemkolwiek niedobrem podejrzeniem.

Ale on sam nie był obecnie kontent z siebie — z siebie — wyszedł ze swojej roli niepotrzebnie i prawie bez żadnego powodu. Uczuł dla kobiety szlachetnej i nieszczęśliwej głębokie współczucie, szacunek głęboki i poeta wystąpił z niego nagle—zapomniał udawać, schylając się przed nią, odkrywając przed nią głowę. Forma, to

tylko łupina treści, w sobie noszonej... łupina zewnętrzna, o której we wzruszeniu, w zajęciu uczucia wyższem, czyż można pamiętać? Człowiek rusza się wtedy, mówi, śmieje, lub płacze machinalnie, w sposób, do którego w ciągu życia się wdrożył...

Przecież teraz nie mógł zapomnieć, jak ta niespodziewanie ujrzana p. Wanda była piękną i powabu pełną, jak jej duże, wypukłe oczy czarne, wdzięcznie na niego spojrzały, jak mu grzecznie za przysługę oddaną podziękowała ruchem głowy szlachetnym. Ale natura Stanisława, mimo wszystkich jego zboczeń i słabości, była podniosłą; wdzięk piękności wywierał na niego swój czar, tu przecież dostojna istota moralna podbiła go przedewszystkiem i gdyby ta panienka porzecka, jak ją zwał Prokop, była najbardziej niepozorną, nikłą, biedną dziewczyniną, lub tak prostą i ogorzałą jak te, które dziś właśnie pieliły len w ogrodzie dworskim, on byłby się równie nizko przed nią skłonił, byłby z równym uszanowaniem z posługą jej pośpieszył.

O! pragnąłby on pomódz jej i w czemś ważniejszem, w większych, cięższych jej życia trudnościach, ale tu już do niej dostępu nie miał i myślał tylko: jak życie takiej sieroty na łasce u ludzi twardszego serca, u ludzi niższych duchem, musi być ciężkie,—ciężkie bardzo!

I stał się z tego fakt taki, że całą noc, bo prawie do świtu, oka nie zamknął—że roił i marzył o życiu, o kobiecie, o miłości. Ozwał się przytem i własnej jego rany ból stary, własna jego tęsknota i uczucie osamotnienia — inna postać dziewicza wyszła do niego z cieniów nocy. Ale tej marze kazał natychmiast iść od siebie precz... Była też wdzięczna, śliczna,—o! śliczna bardzo z szafirową tą źrenicą, spokojnie i łagodnie patrzącą; ale tej ustąpić kazał prędko—zaraz, zaraz!

Aby to nastąpić mogło, podniósł się, na łóżku siadł i w bledniejące już na niebie gwiazdy popatrzył; ale tego już na sobie wymódz nie mógł, aby potem, gdy znów głowę na poduszki skłonił, nie myśleć, że mając przy sercu swojem kobietę ukochaną, kobietę kochającą, można być szczęśliwym—szczęśliwym jak aniołowie w niebie, w byle dworku, pod byle dachem, choćby chaty takiej, jak Prokopowa, choćby na kawałku takiej, jak tu, lichej, piasczystej ziemi. Parę drzewin zasadzić i płot chruściany w koło dać, i niechby samemu orać przyszło, byle coś drogiego na świecie mieć, coś kochać i kochanym się czuć... Dawne jego życie wydało mu się jakąś nędzną pogonią bez celu—za wartościami bez wartości, za liczmanami, które się zdaleka złotymi wydają! Teraz on to już wiedział—wiedział, że go unosiła fala zdradna, której dał się porywać, bo w głębi jego duszy była czczość, była pustka. Ale stało się, co się stało... Młode życie sobie zwichnął, wykoleił nieszczęśliwie, z prostej drogi na manowce sprowadził i teraz nastąpiła pokuta — dorabianie się pracowite jakiegoś mienia na pokrycie bankructwa przeszłości!

Usnął, gdy dniało, ale we dwie godziny potem zerwał się na nogi, skoro tylko jaśniejszy blask słońca zajrzał mu w okno. — Ekonom jesteś, bratku... zawołał na siebie—wstawaj do roboty...

Nie było to przecież wyrzeczonem ani gorzko, ani nawet smutnie i leniwiej może podnosił się z łóżka w Warszawie, myśląc o papierach: o rachunkach, komplanacyach, pozwach, które miał wertować, a których treścią główną i ostatnią była zawsze kłótnia ludzka o grosz, o pieniądz jakiś, większy lub mniejszy — targanie się wzajemne o zysk. Tu człowiek sięgał tylko do skarbca natury, tu tylko własna jego praca tworzyła bogactwa i gdy Stanisław na świeże, wonne powietrze poranku czoło podał, gdy go w pierś sobie wciągnął, jakieś siły młode, czerstwość męzka, odezwała się w nim. — O!... mówił sobie — stary to nasz grunt, roli kawałek! Kto choć kilka zagonów mieć jej może, tyle tylko, aby była jakaś kromka pewnego chleba, jeszcze on pan jest... jeszcze pan... Czuł, że z tem, co w piersi miał, byłoby mu gorzej gdzieindziej, w mieście....

Czasu nie miał filozofować, ale mimo wszystko, co mu w piersi cierniem mogło, tkwić musiało, zawsze tak na niego działało pierwsze wychylenie się na ten świat boży, który go w postaci ubogiej wioski otaczał. Była to jakgdyby kuracya, spełniająca się przez życie pracowite w warunkach naturalnych dobrze spotrzebowywanej, dobrze rozwijanej siły młodzieńczej. Gdy p. Michał spotkał go wkrótce przy stodole, której strzechę poszywano, uśmiechnął się do niego, jak do syna.— A kochanku, jak to dobrze być młodym i pamiętać o wszystkiem!—zawołał. Ja, przyznam ci się, całkiem to z pamięci wypuściłem, że marcowe wiatry słomę ze szczytów pozrywały i żniwa byłyby zastały dach dziurawy. Niechże cię Bóg kocha, żeś taki pamiętny i uważny...

Miłe uczucie tego błogosławieństwa pokrzepiło Stanisława.—Przyniesie mi to może szczęścia trochę—rzekł sobie, choć jeszcze żadnej formy dla tego szczęścia w umyśle swoim nie stworzył. Jak rozbitek na wyspie nieznanej, ledwo że sobie przytulenie jakieś znalazł i kto wie czy go tu nie zaskoczy znowu jaka moc nieprzyjazna—do walki, do próby sił znów nie wyzwie?

W Rudawicy nikt prawie nie bywał. Ludzie boją się nieszczęśliwych, bo smucić się z nimi trzeba, i usprawiedliwiano się wzajemnie tem, że biedaków najeżdżać nie trzeba, oszczędzając im zachodu kłopotliwego przyjęcia gości. Tylko p. Wanda zjawiła się tu znów jakoś niespełna w tydzień; przyjechała tak jak poprzednio konno i sama jedna, na godzinkę zaledwie. Przywiozła p. Michałowej piękny bukiet kwiatów, jakich nie miał ubogi ogród rudawicki.— Prawda, że ładne, te zwłaszcza, które ogrodnik nasz indyjskiemi liliami nazywa?— pytała, przymilając się p. Michałowéj i ręce jej całując. Ta głowę dziewczyny, która przy jej nogach na małej ławeczce usiadła przycisnęła sobie do piersi, a ona szepnęła wtedy wzruszona:—A czy nie ma listu? Czy nie przyszedł w czasie gdy mnie tu nie było?

— Nie, dziecko drogie... ale myślę że będzie niedługo. Spodziewam się go codzień.

— Ach!—westchnęła dziewczyna — czemu ja codzień przyjeżdżać tu nie mogę?... Gdyby to wiatr jaki mógł mi wiadomości ztąd przynosić!...

Zapłakała, ale otarła prędko łezkę.—To nic.. rzekła z poczciwym uśmiechem mężnym — to nic... Szczęście potem większe, gdy przychodzi nareszcie. Trzeba na nie zasłużyć...

P. Michałowa głaskała łagodnie czarne włosy dziewczęcia. Miała w oczach, nie już swój smutek, ale żal nad nią.

Stanisław widział to z trzeciego aż pokoju. Przyszedł do p. Michała z zapytaniem o coś, na co biedny stary odpowiedzi mozolnie w książkach gospodarskich szukał, a on czekając, stał przy biurku.—Zaraz... zaraz kochanku — mówił starowina.—Wiem że tu gdzieś jest zapisane. Pamięci dobrej nie mam, ale jest zapisane...

Przewracał karty, a Stanisław stał i oczy jego mimowoli zabłądziły przed siebie. Przez drzwi nawpół uchylone zobaczył ten obrazek smutny. Słów nie słyszał, ale widział, jak dziewczę otarło łzę, widział jak ręka starszej kobiety z litością spoczęła na jej głowie, kształnej, w gruby czarny warkocz bogatej.

Tym razem już nie przypadek sprowadził go na drogę p. Wandy, gdy wyjeżdżać miała. Pilnował chwili i zjawił się natychmiast, gdy w ganku stanęła. Wziął konia od Hrycia i przyprowadził go jéj sam, poprzednio starannie obejrzawszy i umocowawszy popręg. Ona już mu skłoniła główką jak znajomemu i uśmiechnęła się do niego, a on szukał jej w oczach śladu tej łzy, którą widział ocieraną. Oczy miały też blask wilgotny i uczuł wielkie wzruszenie serca. Znowu mógł by był uczynić coś nierozważnego, ale nie, nie zrobił nic, czegoby potem żałował. Ona nie wypuściła tak konia odrazu, jak przeszłym razem; obejrzała się jeszcze za p. Michałową, a on znów, zastępując Hrycia, poszedł jej wrota otworzyć i stał przy nich, czekając na nią.

— Dziękuję panu — rzekła mu wtedy piękna dziewczyna; on się ukłonił znowu tak nizko, jak królewnie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż 2 Marca 1888 r.

Dalszy ciąg zimy. — Klęski. — Polak zbawcą. — Piece Szuberskiego. — Sprawa Wilsona. — Surowe przemówienie prezesa.— Wyrok potępienia.—Echa trybunalskie.—Karnawał i brak hec ulicznych.—Bale i obiady. — Polityka za stołem. — Mowa kanclerska i jej wrażenie.—„Furor Teutonicus.“ — Tłómaczenie ze staréj kroniki. — Choroba Następcy Tronu Niemieckiego.—San-Remo.—Wystawy sztuk pięknych.—Wystawa kobiet artystek.— Mirlitony.—Jerzy Ohnet.—Poznanie go osobiste.- Jego ostatnia powieść *Volonté*. — Bajeczka o brzydkiej pannie i o pięknym królewiczu.

Luty nas trzyma w okropnych opałach. Prawdziwy to tradycyjny jeszcze Luty! Ciągle siedzimy pod *zerem*, i ani sposobu przekroczyć tej twardej granicy ciepłomierza: rzecz tu niezmiernie rzadką, od wielu już lat niepamiętna. Całe południe Francyi zasypane śniegiem w tej chwili, z gór walą się lawiny, zasypują wsie i miasta, równiny leżą pod białym całunem; dreszcz przejmuje człowieka, kiedy pomyśli: co to za klęska dla tych ludzi, przywykłych tylko do słońca. Domy bez opatrzenia, tak prawie, jak bez opału, odzienie letnie, pokarm często niedostateczny—słowem: wszystko tu dla słońca, a nic dla zębatej zimy. Prawdziwa i straszna bieda!... Wiemy, że to rzecz powszechna prawie, ta ciężka, tegoroczna zima, ale to nas nie pociesza bynajmniej. U was, gdzie ciepłomierz spada na straszliwe niziny dwóch i więcej dziesiątków stopni pod zerem, tutejsza francuzka zima, może się wydawać jesienią. Jesteście w to wdrożeni, przygotowani do tego: a przecież ile to biedy i skwierku!... Cóż dopiero dla tych, których zima zaskoczy znienacka! Są bez obrony, bez siły—słowem: wielka bieda—ta ciężka zima.

Teraz dopiero, jeśli nie co więcej, to przynajmniej pomysł polski, w górę! Dziwne to, że coś dobrego wymyślił ten *Polak głupi, co wszystko kupi!* Otóż wymyślił i gdzie się obrócisz, wszędzie posłyszysz to imię magiczne: *Szuberski!* Wiecie zapewne, że p. Szuberski, inżenier, jest wynalazcą przenośnych piecyków. Łatwość przenoszenia z pokoju do pokoju, byle tylko był kominek w mieszkaniu, oszczędność na opale i prawdziwie dobre, łagodne, ale dostateczne ciepło, uczyniły z tych piecyków, rzecz powszechnie wziętą. Szuberski zrobił ładną fortunę, bo tu, skoro rzecz jakaś raz już pójdzie, to nastarczyć już jej trudno. Imię więc Szuberskiego jest dziś na ustach wszystkich, od pańskich pałaców do skromnego poddasza. Paryż się ogrzewa dzięki Szuberskiemu i, *volens nolens*, trzeba się wyrzec narodowej już dziś prawie antypatyi, która się nagle z wielkiej narodowej sympatyi wysmażyła w tych biednych mózgach francuzkich.

Tak, wszystko tu się zmienia i przechodzi. Skończyła się też i owa wielka sprawa zięcia z Elizeum, którego pod naciskiem opinii publicznej odesłano nakoniec pod sąd policyi poprawczej, z całą jego zacną czeladką. Było to ostatnie karnawałowe zadowolenie Paryżanów, łaknących zawsze skandalu, chociażby pomyje miały ich samych obryzgać. Ale i tutaj, na tej brudnej ławie oskarżonych, Pan Zięć, z wytartem czołem i wyparzoną gębą, okazał się tem, czem był całe swe życie: człowiekiem bez sumienia i wstydu. Perorował, jakby z mównicy Izby Deputowanych i ani śladu nie było w nim widać przygnębienia lub wstydu. Widząc, jak swobodnie i zręcznie pływał, po tem brudnym rynsztoku, można było pomyśleć, że to ów: *Vir probus ac impavidus* Horacego. Jedno, co może zadziwić, gdybyśmy nie wiedzieli, co to wszystko warte, to ten szczegół z życia Wilsona, że taki, jak on matacz, po dwakroć mógł być powoływanym przez Izbę Deputowanych na prezesa kommissyi budżetowej!

Byliśmy widzami prawdziwie pociesznej komedyi, która się odgrywała przed kratkami policyi poprawczej. Co to za typy, cały ten szereg przesuwających się przed sądem świadków

wspólników Wilsona, w tej haniebnej sprawie, zacząwszy od głupich i naiwnych ofiar tych rzezimieszków, aż do wyszczekanych z wytartem czołem oszustów, jak taki, naprzykład, Dubreuil, windykujący dla siebie *mordicùs* tytuł i godność vice-hrabiego, albo ten zimny, poważny Hébert...

Przecież, pomimo wpływów i starań—a musiały być one niemałe, skoro tu chodziło o skórę zięcia p. Grévyego—pomimo wszelkie wszelakości, skończyło się na tem, że opinia publiczna przemogła i sąd wszystkich oskarżonych, z wyjątkiem „damy“ Ratazzi— potępił.

Prezes sądu p. Villers, przed ostatecznem ogłoszeniem wyroku, zabrał głos—i jak zwykle to się praktuje, streszczając cały przebieg sprawy i tak zakończył swoje przemówienie:

„Co do Wilsona, postępowanie jego, ze względu szczególnie na sytuacyą polityczną i społeczną oskarżonego, niczem się usprawiedliwić nie da; a to z pobudek:

„Iż on przez swe postępowanie skompromittował, nietylko własny swój honor i osobistą godność, lecz nadto jeszcze, ze względu właśnie na położenie, jakie zajmował obok naczelnika państwa, nietylko że obraził sumienie i moralność publiczną, ale mógł nawet skompromittować honor i godność narodu.

„Iż to jest powodem dla trybunału, zastosować doń ściśle artykuły prawa i niedozwolić mu na korzystanie z żadnych łagodzących winę okoliczności.....“

Wskutek tego i z tych powodów wyrokiem sądu policyi poprawczej zostali skazani: Wilson na dwa lata wieży i 3,000 franków grzywien, Ribaudeau pierwszy i główny jego wspólnik, na ośm miesięcy wieży—Dubreuil na cztery miesięcy i Hébert na miesiąc wieży. Sławną zaś panią Ratazzi, jako już skazaną na wieżę, poprzednio w sprawie generała D'Andlau, tym razem puszczono bez kary.

Dodać tu potrzeba, że Wilson skazany przytem został na pięcioletnią utratę praw cywilnych.

To publiczne i wymowne potępienie winnego, w imię obrażonego sumienia ogółu, a szczególnie ostatnie słowa przemówienia prezesa wywarły głębokie i silne wrażenie na wszystkich przytomnych i tłumnie zebrana publiczność w milczeniu religijnem odeszła od kratek...

Ale, ani Wilson, ani jego adwokat Lenté, ani główny wspólnik Ribaudeau, nie byli obecnymi przed sądem. Sam tylko bezczelny Dubreuil gestem i mruczeniem protestował przez cały ciąg przemówienia prezydującego, a obok niego widzieliśmy siedzących w milczeniu Héberta i panią Ratazzi.

A teraz: co się dalej stanie? Czy poseł z Departamentu Indre et Loire zostanie ogłoszony *ex officio*, za pozbawionego swojego poselskiego krzesła. Tak, ale nie prędzej, aż wyrok wczorajszy, który zatwierdzony zostanie niechybnie przez Sąd Apelacyjny i Kassacyjny, jeśli się aż tak wysoko skazani odwołają, ostatecznie się uprawomocni.

Powiadają, że Wilson chwalił się przed niektórymi reporterami dzienników, iż zaappelluje i ma nadzieję obalić wyrok. Próżne to przechwałki, bo żadnego dowodu swej niewinności nie zdoła złożyć przed sądem appellacyjnym i kassacyjnym, jak ich nie złożył przed sądem policyi poprawczej. Wyrok więc pozostanie w całej mocy, i Wilson zachowa swe dwa lata wieży, jako należną nagrodę za tak doskonałe utrzymanie się w charakterze zięcia—nie samego tylko Grévy'ego, ale—„zięcia Rzeczypospolitej“, jak go tu ochrzczono, gdy poznano jego matactwa. Ale ponieważ według prawa nie może on być przytrzymanym pierwej, aż upłyną termina legalne, appellacyi, a możliwie i kassacyi, pozostaje mu zatem jedyny środek: czekać gdzieś na uboczu pięcioletniej preskrypcyi wyroku! Będzie więc mógł odwiedzić znowu rodzinną Anglią i tam w miłem ustroniu, które, jak powiadają, już sobie naprzód zgotował, czekać legalnej preskrypcyi!

Nie wychodząc z trybunału i kryminału, chciałem powiedzieć wam słów kilka o agitujących się dość dziwnych, tragi-komicznych, sprawach rozwodowych. Jedne z nich już prawie skończone, drugie rozpoczęte zledwie. Ale, że w jednych, jak w drugich, powodami są, wielkie i historyczne imiona nasze, że większa w tem jest zgorszenia, niż zbudowania przyczyna—aby więc nie zostać Chamem, wolę naladując Sema i Jafeta, zrzucić mój płaszcz, choć zimno, i pokryć to, na co wstyd narodowy nie pozwala mi patrzeć obojętnie. Ciekawi zresztą znajdą to w zagranicznych gazetach — a może nawet i w swoich własnych.

Są to karnawałowe okruchy, którym zima nie dozwala buchnąć w twarz publiczności całą zarazą wyziewu. A! zima, jak zima, a dyabeł swego nie traci, bo tu coś zawsze na jego kamień spadnie. Karnawał wprawdzie uliczny przeszedł, jakby go nie było. Zniknęły owe karmne woły, o złoconych rogach; zniknęły tryumfalne wozy, błyszczące szychem orszaki; zniknęły nieszczęsne ofiary tej śmiesznej wystawy, młode, wynędzniałe najemnice, owej czci Bachusa; umilkły fałszywe klarnety i rozdzierające uszy myśliwskie trąby—słowem: cały ten uliczny, brudny, nudny i zachlastany po uszy karnawał, zniknął do szczętu; zostały tylko po nim głupie reklamy i dziwaczne wozy, na czerwono malowane: *Old England* i na czarno—jakiegoś mydlarza!

Za to bale i obiady! jakby szczęście, spokój, złotopłynnym Paktolem, zalały Paryż i Francyą. Bale w Elizejskim Pałacu, gdzie nowy prezydent rad jest pokazać co umie, i stara się prześcignąć skrzętne i oględne wieczorynki Grévy'ego. Bale w Ratuszu, gdzie rada miejska przeżuwa ostatniej pożyczki miliony. Bale i obiady, powiadam, aż miło. A na tych ostatnich wszystko być musi. Największym dziś szykiem w Paryżu jest wystąpić z kawiorem, sterletem, a szczególnie z pirogiem. Jest to już szczyt elegancyi dobrego tonu. Mieszczanin paryzki, zasypiając w ciepłem łóżku, marzy tylko o tem, żeby het, zdaleka czemprędzej przyszło coś, coby jego własny trud zastąpiło i zrobiło wszystko, czego serce pragnie — byle on w swem łóżku mógł się wylegiwać spokojnie.

(Dokończenie nastąpi).

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Asnyk o sycylijskiej Taorminie**. Na początku Lutego poeta nasz z Krakowa, gdzie stale od dwudziestu lat zamieszkuje, wyjechał na południe. Przez Wiedeń, Villach (stacya kolei żelaznej dla udających się do Ossiaku) Franzensfeste, Meran, zawitał do Wenecyi; ztamtąd puścił się na Florencyą do Rzymu i dotarł do Neapolu. Wsiadłszy tam na okręt, popłynął do Palermo; sześć dni spędził w stolicy Sycylii, następnie zwiedził Girgenti, Taorminę, Catanią, Syrakuzę. Ztąd puścił się znowu na morze i przypłynął do Malty. W La Valetta zatrzymał się sześć dni, czekając na parowiec, który w d. 29 Lutego miał wyruszyć do Tunisu.

Poeta zamierzał być jeszcze w Algerze, otrzeć się tylko o Marsylią, Paryż i Berlin i przybyciem do Poznania zakończyć szybką swoję wycieczkę. W Krakowie spodziewał się być jeszcze przed Świętami Wielkanocnemi. W Poznaniu mieszka teść Asnyka, a w szkołach miejscowych kształci się jego syn, już kilkunastoletni. Ze wszystkich miejscowości pierwszy raz widzianych, najlepiej podobała się poecie Taormina, w połowie drogi między Catanią a Messyną, prawie u podnóża Etny. W liście prywatnym tak opisuje doznane tu wrażenia:

„Miejscowość wisząca tuż nad samem morzem, tylko wyniesiona nad jego poziom, blizko na czterysta stóp, na marmurowej skale, przed którą wznoszą się wyższe szczyty gór z ruinami saraceńskich i normandzkich fortyfikacyi, z miasteczkami i zameczkami. Wyżej jeszcze nagie skaliste turnie; ku południo-zachodowi dominujący i odsłonięty cały, od dołu do szczytu, wspaniały ostrokrąg Etny, pokryty do połowy srebrzystym płaszczem śniegu, z drugiej strony widok otwarty na pełne morze i całe powycinane wybrzeże od Catanii do Messyny z wszystkiemi wcięciami, zatokami i przylądkami, i cała Kalabrya jak na dłoni. Widać doskonale nawet Reggio (jakie 9 mil w linii wzroku *P. R.*) i inne mniejsze osady.

„Sama Taormina ubrana w różowo kwitnące migdałowe drzewa, pomarańcze, cytryny, róże i nieodłączne od skał kaktusy. Na jednym jej krańcu, położona nieco wyżej, piętrzy się majestatyczna ruina amfiteatru, pierwotnie greckiego, później przerobionego przez Rzymian. Ze szczytu tego teatru przypatrywałem się najcudowniejszemu widowisku, jakie wieczna daje natura: wschodowi słońca wynurzającego się z morza.

„Przybyłem, gdy jeszcze mrok mleczny zalewał niebiosa i ciemniejszą, siną, toń morza. Gwiazdy błyszczały silnie, lecz już niebieskawo, przechodząc w opalowe tony. Etna jaśniała w całej swej gloryi, jakby wykuta ze srebra, tak nieskalanie biała, czysta i połyskująca srebrno-niebieskiemi reflexami. Powoli gwiazdy zaczęły blednąć, a szafirów morza wydobyła się pierwsza nieznaczna strzała złota. Nagle zaczerwienił się biały obłok dymu, wznoszący się z krateru, potem sam szczyt najwyższy,—i powoli cała srebrna Etna zaczęła się powlekać najpiękniejszym różowym rumieńcem, a tarcza słoneczna złota, czysta, wychyliła się nawpół z błękitnej toni.

„Opisać całą grę światła, i barw, i cieni, zalegających jeszcze wąwozy i doliny — to niepodobna: musisz napomoc wezwać swoję własną wyobraźnię i dopełnić reszty obrazu.

„Żeby nic nie uronić z otaczających mnie piękności, zrobiłem wyprawę na najwyższy z okalających Taorminę szczytów, 2,400 stóp wyżej od niej położony. Nazywa się on „Monte Venereta“ a z jego szczytu można sięgnąć wzrokiem i w samo wnętrze kraju, poprzerzynane pasmami gór i głęboko wciętemi wąwozami. Nie żałowałem trudu, bo miałem jeden z najrozleglejszych widoków, o jakich marzyć można. W Taorminie byłby idealny pobyt na czas dłuższy, ale, naturalnie, w jakiem większem kółku dobrych przyjaciół.“

Kto w tym opisie nie czuje poety?

— **Obrazy Warszawy** podała berlińska *Ilustrirte Zeitung* z dnia 3 Marca w dwunastu widokach bardzo dobrze oddanych, a to: Plan Miasta, Zamek, Ratusz, Wielki Teatr, Kościół Pokarmelicki na Krakowskiem Przedmieściu, Stare Miasto, Kościół Ewangelicko-reformowany na Lesznie, Synagoga na Tłomackiem, Pałac Łazienkowski, Pomnik Jana III. Praga, Pałac w Willanowie. Towarzyszy temu bardzo sympatycznie napisany i z niewielkiemi tylko niedokładnościami artykuł, podający w streszczeniu historyą Warszawy i jej obraz dzisiejszy. Pisał go Teodor Braun, który umiał spojrzeć na nasze miasto okiem dobrze widzącem i przychylnem.

— **Popiersie Kraszewskiego**, dłuta Teodora Rygiera, umieszczonem będzie w muzeum sztuki w Krakowie. Rzeźbiarz ofiarował się wykonać bez żadnego wynagrodzenia pomnik Krasińskiego, którego postawienie na Wawelu jest zamierzonem.

— **Muzeum Kopernika w Rzymie** zostało zamienione w muzeum astronomii. Kustoszem zbiorów został dr Artur Wołyński

— **Stoletnia kronika wypadków w teatrach** Europy i Ameryki została spisaną i wydaną świeżo w Paryżu. Jest to nieduża broszura napisana znanym piórem Ludwika Figuier, a lista poczynająca się od 1787 r. a ciągnąca się do 1887 mieści 5,741 osób zabitych, a 2,328 ciężko skaleczonych.

— **Straszliwe trzęsienie ziemi** w Chinach, w Yunnan, na południo zachodzie, pogrzebało w gruzach 2,000 ludzi.

— **Przeludnienie wielkich miast Europy** staje się zastraszającem. Według statystyki Londynu, było tam w d. 18 Lutego 1885 r. ludzi niemających roboty i pozbawionych wszelkich środków do życia, ale bynajmniej nie włóczęgów i nie chorych na umyśle: 97,434. W roku 1886 było ich, także d. 18 Lutego, 102,050; w 1887 roku:

104,560; w roku bieżącym okazała się liczba 110,200.

— **Wiedeń słowiańszczeje**, jak piszą z trwogą ogromną dziennikarze wiedeńscy, Niemcy. W samym Wiedniu, w jego starym obrębie, liczącym 705,000 mieszkańców, jest więcej, niż połowa, bo 400,000 Słowian: Czechów, Słowaków, Polaków i innych. Na włączonych obecnie do Wiednia przedmieściach, więc na jego nowem mieście, liczącem 317,000 mieszkańców, osiedla się coraz więcej Słowian i zaznaczać się zaczyna w ruchu życia wiedeńskiego.

ODPOWIEDŹ OD REDAKCYI.

Pani Maryi W. w Warszawie. —*Lettres provinciales*, o których wspomina Smiles w swem najnowszem dziele *Life and Labour*, podawanem obecnie w *Bluszczu* (ob. wzmiankę w Nr 10 *Bluszczu*), nie są głównym tytułem Pascala do pamięci potomnych. Jako myśliciela ukazują go przedewszystkiem jego *Pensées*, myśli o człowieku. „Listy prowincyonalne“ są zbiorem ośmnastu rozpraw i polemik, napisanych w obronie Jansenizmu, w latach 1656 i 7. Wraz z Arnaudem Pascal był wówczas naczelnikiem Port-Royalu. a jedna z jego sióstr zmarła jako zakonnica reguły przez Jansenistów przyjętej. Prace matematyczne Pascala nadają mu wysoką godność w hierarchii umysłów twórczych w téj gałęzi wiedzy, a badania nad ciężarem i ciśnieniem powietrza stanowią trwałą zdobycz fizyki w pomyśle i urządzeniu barometru. Nie mylisz się Pani: Pascal jest jednym z najświetniejszych umysłów, nietylko we Francyi, ale i w świecie całym; to mu jednak nie przeszkadzało z niezmiernym mozołem opracowywać wszystkiego, w czem myśl swoję na papier przelewał. W „Bibliothèque Nationale“ (dawna „Impériale“) pokazują jednę kartę jego rękopisma, z kilkudziesięciu przekréśleniami, poprawkami, dopiskami. Nie łatwiej zapewne wynurzały się z głębi umysłu i sławne „Listy“ wspominane przez Smiles'a. Czytelnik ani się domyśla, z jakim powstawały trudem, jak ciężko było przekonaniom i wyobrażeniom wcielać się w słowa, a słowom—układać się w potok dosadnej, wdzięcznej, wrażenie ciepła sprawiającej mowy. Pascal jest może pierwszym pisarzem francuzkim, którego styl polemiczny na wyróżnienie w historyi literatury zasługuje i dziś jeszcze przymiotami swemi jaśnieje. Najprzystępniejszą ocenę Pascala znajdziesz Pani w pochwale Condorceta. Dzisiejsi Francuzi wysoce go cenią; w mieście jego rodzinnem Clermont-Ferrand w Owernii wznieśli mu niedawno pomnik.

Otrzymaliśmy od „Komitetu kassy Pomocy dla osób pracujących na polu naukowem imienia Dra Józefa Mianowskiego” następującą odezwę:

Załączając przy niniejszem: „Regulamin przyznawania nagród z zapisu **Jakóba Natansona**,“ z prośbą o podanie do wiadomości czytelników pisma, mam zaszczyt zawiadomić, że prace ogłoszone drukiem po dzień 14 Września 1884 roku, których autorowie odpowiadają warunkom wymaganym w § 10 regulaminu, składane być mogą do oceny na ręce każdego z Członków Komitetu zarządzającego Kassą pomocy.

Vice-Prezes Komitetu (podp.) *Dr Ig. Baranowski.*
Członek Komitetu Sekretarz (podp.) *K. Dobrski.*

REGULAMIN

przyznawania nagród z zapisu

Jakóba Natansona.

Professor b. Szkoły Głównej Jakób Natanson, jeden z pierwotnych założycieli Kassy pomocy dla osób pracujących na polu naukowem, zmarły 14 Września 1884 r., testametem spisanym w Warszawie w d. 10 Lipca 1882 r. i 15 Listopada 1883 r. zapisał:

„rubli trzydzieści tysięcy Komitetowi Kassy pomocy dla pracujących na polu naukowem, imienia Dra Mianowskiego, na następujący cel użyteczności publicznej. Co lat cztery mają być udzielane, z procentów od powyższej summy, dwie nagrody za dwie największej wartości, prace naukowe w ciągu ostatnich lat czterech przez mieszkańców Królestwa Polskiego, w Królestwie urodzonych, dokonane i w języku polskim drukiem ogłoszone. Jedna z tych nagród przeznaczoną być ma za najlepszą pracę w zakresie nauk ścisłych, a druga za takąż pracę w zakresie nauk społecznych, filozoficznych, prawnych, historycznych lub tym podobnych.”

Po zatwierdzeniu zapisu przez władzę w d. 4 Sierpnia 1885 r., wykonawcy testamentu złożyli do dyspozycyi komitetu, nietylko summę w zapisie wymienioną, lecz i procenta od dnia śmierci zapisodawcy, umożliwiając tym sposobem wcześniejsze wykonanie myśli w testamencie wyrażonej. Za summę powyższą komitet kassy, w myśl ustawy (§ 4) zakupił $5\frac{1}{2}$ Listy Zastawne Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego.

W myśl przytoczonych powyżej warunków testamentu, a zgodnie z Ustawą Kassy Pomocy, Komitet zarządzający kassą, w wykonywaniu woli zapisodawcy rządzić się będzie niżej wymienionemi zasadami i przepisami.

A. Fundusz nagrodowy.

§ 1. Fundusz nagrodowy powstaje z procentów od kapitału rs. 30,000 z zapisu Jakóba Natansona.

§ 2. Z funduszu tego powstają co lat 4 dwie w równej summie nagrody pieniężne.

§ 3. Pierwsze nagrody powstaną z procentów zebranych od 14 Września 1884 r. do 31 Grudnia 1888 r.

§ 4. Fundusz nagród każdego okresu, powstający z czteroletnich procentów od kapitału, zwiększa się nadto procentowaniem powstającej w sposób powyższy summy.

§ 5. Fundusz ten procentuje się aż do dnia wypłaty nagród.

§ 6. Z funduszu nagród pokrywane będą konieczne wydatki, z przyznawaniem nagród związane, a mianowicie: kupno prac drukiem ogłoszonych, oile takowe komitetowi złożone nie zostaną i ogłoszeń w pismach, oile takowe bezpłatnie zrobić się nie dadzą.

B. Przedmiot nagród.

§ 7. Dwie równe nagrody pieniężne udzielane będą co lat cztery, za dwie największej wartości prace naukowe, w języku polskim ogłoszone, w ciągu ostatnich lat czterech.

§ 8. Pierwsze nagrody przyznane zostaną za prace ogłoszone drukiem między 14 Września 1884 r., a 31 Grudnia 1888 r. Następne czteroletnie okresy odpowiadać będą latom kalendarzowym.

§ 9. Jedna nagroda przyznawaną będzie za pracę najlepszą z ogłoszonych drukiem w danym okresie, z dziedziny „nauk ścisłych“ (matematyka, nauki przyrodnicze włącznie z biologicznemi); druga za takąż pracę w zakresie „nauk społecznych, filozoficznych, prawnych, historycznych *lub tym podobnych.*“

§ 10. Nagrody udzielone być mogą jedynie:
a) poddanym Rossyjskim (§ 2 Ustawy);
b) mieszkańcom Królestwa Polskiego w Królestwie urodzonym.

§ 11. Za każde czterolecie przyznane być muszą dwie nagrody za prace, z ogłoszonych, najlepsze. Nie dopuszcza się odraczania nagród dla braku prac znakomitszych, przenoszenia prac z jednego okresu czteroletniego do następnych, ani dzielenia którejbądź z obu nagród.

§ 12. Przeszkodą w otrzymaniu nagrody nie będzie:
a) uprzednie nagrodzenie pracy przez inną instytucyą;
b) zapomoga udzielona przez kassę lub inną instytytucyę na dokonanie lub ogłoszenie drukiem danej pracy;
c) rozmiary pracy.

§ 13. W razie nieprzyjęcia nagrody przez osobę, której przyznaną została, nagroda udziela się za inną, najlepszą z pozostałych prac danego okresu i działu.

C. Sposób przyznawania nagród.

§ 14. Do oceny przyjmowane będą prace składane przez autorów, wydawców, członków kassy i wogóle osoby trzecie, a także zebrane staraniem Komitetu Kassy.

§ 15. Jakkolwiek Komitet Kassy starać się będzie, aby żadna z prac kwalifikujących się do nagród w sądzeniu pominiętą nie była, to jednak nie przyjmuje odpowiedzialności za przeoczenie prac, których autorowie lub osoby trzecie w terminie właściwym nie nadeszlą.

§ 16. Prace, czyniące zadość warunkom wymienionym w § 7 i 10, składane być mogą do Komitetu w ciągu całego czteroletniego okresu i w ciągu dwóch najbliższych potem miesięcy.

§ 17. Pracę autorów, którzy w okresie na sądzenie prac przeznaczonym są członkami Komitetu Kassy, do sądzenia przyjmowane nie będą.

§ 18. Rozpatrywanie i sądzenie prac dokonywać się będzie przez półrocze następujące bezpośrednio po upływie konkursowego czterolecia, a to porządkiem i sposobem w regulaminie wewnętrznych czynności Komitetu Kassy wskazanym.

§ 19. Przyznanie nagród nastąpi na pierwszem jesiennem posiedzeniu Komitetu Kassy, prostą większością głosów członków Komitetu, w prawnym komplecie (§ 13 Ustawy) obecnych.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz” w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcyą.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 19-ty i 20-ty powieści pod tytułem: Książę Saracinesca, przez M. Crawford.

TREŚĆ: **Pogawędka.** — **Życie i praca,** (dalszy ciąg), przez Samuela Smilesa. — **Byron,** wspomnienie, (dalszy ciąg). — **Na starym gruncie,** powieść, (dalszy ciąg), przez M. Febroniusza. — **Nowiny paryzkie.** — **Z bieżącej chwili.** — **Odpowiedzi od Redakcyi.** — **Regulamin przyznania nagród z zapisu Jakóba Natansona.**
Dodatek obejmuje: Arkusz 19-ty powieści pod tytułem: **Książę Saracinesca,** przez Maryana Crawford. — Przegląd mód.—25 wzorów nbiorów i robót z opisem —Sekreta gospodarskie. Dyspozycya stołu.

Warszuwa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.
Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.
Дозволено Цензурою—Варшава 2 Марта 1888 года.